NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 12 Katowice, dnia 22-go marca 1931

Na Niedzielę piątą Postu

Lekcja.

Żyd. IX. 11—15.

Bracia! Chrystus stawiwszy się najwyższym Kapłanem dóbr przyszłych przez większy i doskonalszy przybytek, nie ręką uczyniony, to jest nie tego stworzenia; ani przez krew kozłów albo cielców, ale przez własną krew, wszedł raz do Świątnicy nalazłszy wieczne odkupienie. Albowiem jeźli krew kozłów i wołów i popiół jałowicy pokropiony, splugawione poświęca ku oczyszczeniu ciała: jako daleko więcej krew Chrystusowa, który przez Ducha świętego samego siebie ofiarował niepokalanym Bogu, oczyści sumienie nasze od martwych uczynków ku służeniu Bogu żyjącemu? I dla tego jest nowego testamentu pośrednikiem, żeby za przystąpieniem śmierci, na odkupienie występków tych, które były pod pierwszym testamentem, obietnicę wzięli, którzy wezwani są, wiecznego dziedzictwa w Chrystusie Jezusie Panu naszym.

Ewangelja.

Jan VIII. 46—59.

W on czas mówił Jezus rzeszom Żydowskim: Kto z was dowiedzie na mię grzechu? Jeśli prawdę mówię, czemu mi nie wierzycie? Kto z Boga jest, słów Bożych słucha. Dla tego wy nie słuchacie, że nie jesteście z Boga. Odpowiedzieli tedy Żydowie i rzekli mu: Iżali my nie dobrze mówimy, żeś ty jest Samarytan, i czarta masz? Odpowiedział Jezus: Ja czarta nie mam; ale czczę Ojca mego, a wyście mię nie uczcili. A jać nie szukam chwały swej: jest, który szuka i sądzi. Zaprawdę, zaprawdę mówię wam: Jeśli kto zachowa mowę moję, śmierci nie ogląda na wieki. Rzekli tedy Żydowie: Teraześmy poznali, że czarta masz. Abraham umarł i Porocy, a ty powiadasz: Jeśliby kto strzegł mowy mojej, nie skosztuje śmierci na wieki. Izaś ty jest większy nad ojca naszego Abrahama, który umarł? i Prorocy pomarli, czym się sam czynisz? Odpowiedział Jezus: Jeśli się ja sam chwalę, chwała moja nic nie jest, Jest Ojciec mój, który mię uwielbia, którego wy powiadacie, iż jest Bogiem waszym; a nie poznaliście go; ale ja go znam. I jeślibym rzekł, że go nie znam, będę podobnym wam kłamcą. Ale go znam i mowy jego strzegę. Abraham, ojciec wasz, z radością żądał, aby oglądał dzień mój; i oglądał i weselił się. Rzekli tedy Żydowie do niego: Pięciudziesiąt lat jeszcze nie masz, a Abrahamaś widział? Rzekł im Jezus: Zaprawdę, zaprawdę mówię wam: pierwej niż Abraham się stał, jam jest. Porwali tedy kamienie, aby nań ciskali. Lecz Jezus zataił się i wyszedł z kościoła.

Żywot Świętego Benedykta, założyciela zakonu na Zachodzie

W piątym wieku Europa smutny przedstawiała widok. Ogromne państwo rzymskie rozsypało się na mnóstwo małych państewek, a żaden z książąt nie był katolikiem. I sam Kościół święty skazany był herezjami, a pomiędzy duchowieństwo wkradło się tu i owdzie rozsprzężenie. Mała liczba prawych katolików wołała do Boga o zmiłowanie, — i Bóg się zmiłował, albowiem wśród tego zgorszenia urodził się 480 r. ze szlachetnej rodziny w Nursyi we Włoszech Benedykt, co znaczy: błogosławiony. Początkowe nauki pobierał w domu rodzicielskim, a potem oddany został na wyższe nauki do Rzymu. Ale rozpusta, jaka w Rzymie panowała, tak go przeraziła, że opuścił miasto, aby schronić się w niedostępne miejsce i prowadzić życie pustelnicze, chociaż wtenczas liczył dopiero lat szesnaście. Zatrzymany przez znajomych w miasteczku Elfrydzie, zamieszkał u dawnej swej mamki. Stało się, że przez nią pożyczone naczynie się stukło, wskutek czego mamka żałośnie płakała. Użalił się jej Benedykt, począł się modlić, i oto naczynie cudownie zrobiło się całem. Cud ten wnet się rozniósł, ale Benedykt, stroniąc od sławy ludzkiej, potajemnie uciekł i udał się w puste, górzyste miejsce, zwane Sablako. Tam wyszukał prawie niedostępną jaskinię, i w niej zamieszkał. W drodze spotkał pustelnika świętego Romana, któremu ze zamiaru swego się zwierzył. Roman dał mu odzież pustelniczą, i potem przychodził o pewnym czasie przynosząc żywność. Ponieważ Roman na skałę wedrzeć się nie mógł, przeto pod skałą dawał znak dzwonkiem, a Benedykt spuszczał powróz, którym sobie żywność do góry wciągał.

Tak minęły trzy lata, po których Pan Bóg chciał go ludziom oznajmić, gdyż dotąd prócz Romana, nikt o nim nie wiedział. Pewien kapłan nagotował sobie w sam dzień wielkanocny dobre potrawy. Zanim je jeszcze jadł rzekł mu

Bóg we widzeniu: „Ty sobie rozkoszne potrawy gotujesz, a sługa Boży znajdujący się w tem a tem miejscu jest głodem zmorzony". Kapłan wziąwszy potrawy udał się natychmiast na wskazane miejsce, i po długiem szukaniu odnalazł wreszcie Benedykta. Pozdrowiwszy się wzajemnie, odprawili najprzód modlitwy, a potem rzekł kapłan: „Wstań, bracie, i jedź, bo dziś jest Wielkanoc, nie godzi się pościć". Benedykt nie wiedział, że to wielkanocne święto, więc wzdrygał się przyjąć tak smakowite potrawy, i dopiero jadł, kiedy mu kapłan swe widzenie opowiedział.

W tym też czasie odkryli go pasterze. Z początku sądzili, że to jaki dziki zwierzę, ale przypatrzywszy się z bliska poznali, że to mąż Boży, i odtąd chodzili po błogosławieństwo i na nauki, a w zamian dostarczali mu żywności. Wnet wielu mężów porzucając świat, kupiło się w koło niego, aby z ust jego słuchać słów bożych i jego życie naśladować.

Niedaleko od pustelni Benedykta znajdował się klasztór, którego przełożony umarł, a zakonnicy obrali sobie Benedykta za przełożonego. Wzbraniał się długo Benedykt przyjąć ten urząd, lecz po wielkiem naleganiu objął kierownictwo klasztorne. Ale zakonnicy niebawem wyboru swego żałować poczęli, bo Benedykt z całą surowością pilnował reguły zakonnej i dobrych obyczajów, czego oni nie byli zwyczajni. Przeto umyślili go zgubić. Postawiono przed niego podczas obiadu szklankę wina, ale to wino było zatrute. Skoro Benedykt wino owo przeżegnał, szklanka pękła. Domyślił się święty, co zaszło, więc zawoławszy wszystkich, rzekł: „Bracia mili, coście chcieli uczynić! Wszakżem wam powiedział, że moje obyczaje z waszemi się nie zgodzą; szukajcież więc sobie innego ojca, bo mnie mieć nie możecie. Boże bądź wam miłościw". Opuściwszy klasztór wrócił na swe pierwsze miejsce, i znowu wiódł surowe życie pustelnicze.

Sława jego świętości tak była wielką, że zewsząd gromadzili się koło niego mężowie różnych stanów, a liczba ich była tak wielką, że musiał zbudować dwanaście klasztorów, a każdy obsadził po dwunastu braćmi. Zacni Rzymianie dawali mu synów na wychowanie.

Klasztór jeden zbudowany na skale nie miał wody, i trzeba było po nią schodzić na dół. Na modlitwę świętego Bendykta wytrysło ze skały czyste źródło, i odtąd klasztór był we wodę zaopatrzony. — Raz zakonnikowi spadła motyka z trzonka i wpadła do głębokiej wody. Benedykt święty pomodliwszy się zanurzył trzonek do wody i motykę wyciągnął.

Życie klasztorne poczęło się wspaniale rozwijać, i z owoców pracy św. Benedykta cieszyło się niebo, a ludność okoliczna korzyścią. Ale i piekło nie spoczywało, tylko na wszystkie sposoby starało się zniszczyć cały zakład. Mieszkający w pobliżu niegodziwy kapłan Florencjusz chciał najprzód św. Benedykta zniesławić, potem dał mu zatrutego chleba, ale kiedy święty poznawszy zdradę, kazał chleb ten wynieść krukowi na bezludne miejsce, Florencjusz widząc że na taki sposób nic nie dokaże, uczynił zamach na niewinność zakonników. Benedykt chcąc usunąć się od prześladowcy, odszedł z tego miejsca z kilkoma uczniami i osiadł na Monte Kasyno. Była tam stara świętynia pogańska Apolina, którą przebudował na kościół i zbudował klasztór, który stał się najzbawienniejszym na całej kuli ziemskiej. Tu około roku 530 napisał swą podziwienia godną, wiekopomną regułę, której on sam był żywym wzorem.

Oprócz mocy czynienia cudów, gdyż uzdrawiał chorych, wskrzeszał umarłych, miał jeszcze ducha prorockiego. Braciom oznajmiał sprawy, które się daleko działy, przepowiadał przyszłość i znał nawet myśli ludzkie. Słysząc o tem Totyla, król Gotów, postanowił wystawić go na próbę. Przybywszy do Kasyno, kazał Benedyktowi oznajmić swe nawiedziny, lecz sam nie poszedł, ale przebrawszy jednego z panów w swe szaty królewskie, posłał do świętego. Lecz święty już z daleka zawołał: „Synu, zrzucić te szaty, bo to nie twoje!" Przelękniony ów pan padł na ziemię, a potem wróciwszy, opowiedział królowi, co zaszło. Zdumiony król sam się wtenczas udał do Benedykta, padł przed nim na twarz, i prędzej nie powstał, aż go Benedykt podniósł. Teraz mu święty powiedział, że Rzym zdobędzie, przejdzie morze, a dziewięć lat królując dziesiątego umrze. Co się spełniło, bo Totyla zabrawszy Rzym, udał się do Sycylji i dziesiątego roku stracił wraz z królestwem i życie swoje.

Pewien zacny chrześcijanin prosił świętego, aby mu wolno było własny klasztór założyć przy mieście Tartanosie. Benedykt posłał tam starszego z kilku zakonnikami, mówiąc do nich: „Nie budujcie, aż ja tam przyjdę i miejsce wam wskażę". Zarazem oznaczył dzień swego przybycia. Gdy ten dzień nadszedł ukazał się Benedykt starszemu i drugiemu jeszcze zakonnikowi, wskazując miejsce, gdzie ma być klasztór budowany, gdzie ma być kościół, i w ogóle podał im cały plan. Nazajutrz opowiedzieli sobie obaj swe sny, ale im nie wierząc, czekali na Benedykta. Nie mogąc go się doczekać, wrócili. Lecz Benedykt im powiedział: „Ja tam byłem, kiedyście mnie przez sen widzieli; wracajcie i budujcie tak, jakom wam powiedział".

Innego razu pewien ojciec rzyniósł do klasztoru swojego umarłego syna, prosząc św. Benedykta, aby go wskrzesił. „Nie jestto moje dzieło, ale apostolskie", odpowiedział Benedykt. Lecz on ojciec bardzo płakać począł, mówiąc: „Nie wyjdę tu stąd prędzej, aż mi to uczynisz". Litując się Benedykt nad nieszczęśliwym ojcem, zwołał bracią na modlitwę, i rzekł: „Panie mój, nie patrz na grzechy moje, ale na wiarę tego człowieka, który o wrócenie duszy do ciała syna swego prosi!" I dotknął się ciała dziecka, które natychmiast ożyło.

Na początku 543 roku przepowiedział braciom swój bliski koniec żywota. Przed śmiercią spotkał się jeszcze ze swą siostrą świętą Scholastyką, która cudownym sposobem sprowadziwszy burzę brata u siebie przez noc zatrzymała, poczem wrócił do swego klasztoru. Scholastyka św. umarła w trzy dni później, a święty Benedykt w czterdzieści. Gwałtowna febra była ostatnią jego chorobą. Szóstego dnia choroby kazał się zaprowadzić do kościoła, gdzie w przygotowanym od dawna grobie spoczywała święta Scholastyka. Stanąwszy nad otwartym grobem przyjął komunię świętą, i trzymany przez braci, umarł stojący, 21 marca 543 roku.

Tegóż samego dnia dwaj daleko od siebie znajdujący się zakonnicy mieli równe widzenie. Widzieli oni niezliczoną liczbę świateł niebiesk., tworzących niejako drogę wychodzącą z Kasyno i ku wschodowi sięgającą aż do nieba, i zarazem słyszeli głos mówiący: „Tać jest droga, którą Bogu miły Benedykt wstąpił do nieba".

Święty Benedykt położył wielkie zasługi około Kościoła świętego. Z jego zakonu wyszło 24 Papieży, 200 Kardynałów, 1600 Arcybiskupów, 400 Biskupów i 1500 przez Kościół uznanych świętych Pańskich.

List krwią pisany

Cztery lata ośm miesięcy śmierć codziennie stawała u drzwi moich. Cztery lata ośm miesięcy byłem w ciągłej obawie, że...

Bracia w Chrystusie Panu i rodacy!

Z woli Bożej, która się przejawiła w zarządzeniu Jego Ekscelencji Biskupa Łucko-Żytomierskiej diecezji, Księdza Dubowskiego, dnia 23 listopada 1920 r., wyjechałem do Rosji sowieckiej na stanowisko proboszcza i administratora opuszczonych na Polesiu parafij Olewskiej, Łubińskiej, Wielednickiej i Owróckiej. Warunki duszpasterstwa miałem bardzo ciężkie, bo kościoły były oddalone o 50 km jeden od drugiego, a parafjanie osiedleni na przestrzeni 14 tysięcy km kwadratowych.

Podróże odbywałem po parafji po 50 km wozem wołami, a nie rzadko i piechotą. Kiedy władze sowieckie zabroniły uczyć dzieci katechizmu i spowiadać ich, wtedy kryjąc się w lasach, odprawiałem nabożeństwa pod gołem niebem, spowiadałem i zasilałem Najświętszym Sakramentem chrześcijańskie duszyczki dziecięce. W zimie roku 1923, gdy nie zgodziłem się na podpisanie dzierżawnej umowy na kościoły, sprzecznej z prawem kanonicznem, wówczas władze sowieckie opieczętowały mi trzy kościoły.

Odprawiałem nadal nabożeństwa na cmentarzu kościelnym pod krzyżem, spowiadając i dając śluby pod gołem niebem, nie zważając na zimno i mrozy.

Kiedy po skończonej Mszy św., klęcząc na śniegu, intonowałem Święty Boże, płacz i łkania dusiły głos w piersiach parafjan, że nie mogli za mną powtarzać śpiewu. Cała ludność miasteczka Olewska, różnych wyznań, otoczyła tłumnie cmentarz, podziwiając odwagę i silną wiarę ludu katolickiego, a bolszewicy, patrząc na to, zgrzytali zębami. I za to, że w czterech powierzonych mej pieczy parafjach na 8 tysięcy ludności polskiej było tylko 7 bolszewików, za to, że młodzież polska mocno trzymała się wiary katolickiej, za to, że chrzciłem chore dzieci niezapisane jeszcze w gminie, za to, że ratowałem współbraci kapłanów, za to, że głosiłem parafjanom, że Ojczyzna ich to Polska, rząd sowiecki dnia 12 lutego 1926 r. aresztował mnie i osadził w więzieniu przy G. P. U. w Olewsku.

Moi rodzice.

W mej trudnej pracy pasterskiej i krzewieniu patrjotyzmu pomagali i dodawali otuchy moi rodzice 80-letni staruszkowie, mieszkający przy mnie. Po zaaresztowaniu mnie ukochana matka, czując, że miecz katowski zawisł nad głową jej syna, nie mogąc przenieść tego, bez ostatnich Sakramentów świętych (bo bolszewicy nie puścili mnie, aby matkę na śmierć dysponować) oddała Bogu ducha w miesiąc po uwięzieniu mnie. Z ogromnym bólem serca i łzami zalany, patrzałem przez kraty więzienia, jak moi parafjanie bez księdza pochowali moją matkę przy Olewskim kościele. Pozostał mi staruszek ojciec.

Kiedy jednak 6 sierpnia 1926 r. po 10-dniowej rozprawie sądowej skazany zostałem na karę śmierci i gdy w miesiąc potem 9 września przybył do Owrucza kat dla wykonania egzekucji nademną, o czem dowiedział się mój ojciec — nie wytrzymał starowina i nagle umarł na anewryzm serca.

Klęcząc w celi skazany na śmierć, czekałem, że z każdą nocą przyjdą do mnie kaci, jak już przyszli, zabrali i rozstrzelali 5-ciu innych więźniów z tej celi. Odmawiając różaniec ku czci Najśw. Marji Panny Częstochowskiej, ślubowałem jej, że jeżeli wybawi mnie od śmierci, uczynię na jej cześć ofiarę, na jaką mnie będzie stać. Jeżeli zaś wola Boża jest, abym umarł, to prosiłem Ją o męstwo w chwili śmierci. I tak pokrzepiony modlitwą spokojnie oczekiwałem wykonania wyroku.

4 lata w bezustannej trwodze o życie.

Za wstawiennictwem jednak Najświętszej Marji Panny Bóg postanowił mnie ocalić. Po czterech miesiącach takiego oczekiwania śmierci w celi skazanych, powiadomiono mnie, iż wyrok został zawieszony z tem jednak zastrzeżeniem, że każdej chwili może być wykonany. Zostawiono mnie przy życiu jako zakładnika. Od tego czasu rozpoczęło się dla mnie inne życie więzienne, które trwało cztery lata i 8 miesięcy: 4 lata 8 miesięcy śmierć codziennie stawała u drzwi moich, 4 lata 8 miesięcy byłem w ciągłej obawie, że lada zatarg między Polską a Sowietami może spowodować wykonanie wyroku śmierci nade mną, co omal się nie stało, gdy w Polsce zabito przedstawiciela sowieckiego, Wojkowa. Rząd sowiecki systematycznie wykreślał mnie z listy więźniów przeznaczonych do wymiany z Polską. Wreszcie 28-go czerwca 1930 r. wraz z partją 1500 więźniów zostałem wyznaczony do wysłania na sowieckie wyspy. Po drodze czasowo zatrzymali nas w obozie koncentracyjnym pod Archangielskiem, gdzie ogółem było przeszło 28 000 zesłańców.

Widząc jak codziennie pada do 20 osób wskutek głodu i wycieńczenia z ciężkiej 14-godzinnej pracy i mrozów, zrozumiałem, że przyjdzie tu zginąć, więc postanowiłem ratować się ucieczką. Dnia 21 lipca polecając się gorliwą modlitwą opiece Najświętszej Marji Panny, uciekłem z Archangielska i po dwóch miesiącach tułaczki, ukrywania się w lasach i błotach, w cudowny sposób ocalony od kul bolszewickich, które w 4-ch miejscach przeszły kapotę, w łapciach, obdarty, dnia 11 września 1930 r. szczęśliwie przekroczyłem granicę i znalazłem się w ukochanej Ojczyźnie wśród krewnych i rodaków.

Do księży, oficerów i ludu...

Po przybyciu do Ojczyzny nie szukałem sobie spokojnego i wygodnego życia. Z woli Bożej zostałem mianowany proboszczem do Powurska na Polesiu wśród bagien i błot, gdzie niema ani

kościoła, ani plebanji, muszę więc to wszystko przebudować. W zarządzeniu Pasterskiem widzę wyraźną wolę Bożą, w której daje mi możność wykonania danego ślubu Matce Boskiej podczas pobytu w celi pośród skazanych na śmierć. Wróciwszy o żebranym chlebie z Archangielska do Polski i dzisiaj żebrakiem jestem.

Gdybyście mogli słyszeć przekleństwa...

Bracia, gdybyście mogli zobaczyć nędzę, kalectwa, rozpacz szesnastu miljonów ludzi więzionych i zesłanych na północ: na Sybir od Murmau do Sachalinu, Władywostoku, Chabarowska i Kazakstanu: gdybyście mogli przekopać sołowieckie wyspy, śniegi Pieniegi i wyspy koło Archangielska, zobaczyć trupy straconych niewinnie ludzi, gdybyście mogli zebrać to morze łez wylanych przez umęczonych zesłańców i pozostałych wdów i sierot, gdybyście mogli słyszeć przekleństwa rzucane na całą Europę i Amerykę za ich obojętność na nędzę i cierpienia niewinnych ofiar, zrozumielibyście do czego prowadzi bezbożność i jak konieczną jest wiara chrześcijańska dla całej ludności.

(—) Ks. Bolesław Żyliński,
proboszcz w Powursku na Wołyniu.

Nie kradnij, ale kochaj Boga!

Było to w kwietniu roku 1918. Wojna światowa nie myślała jeszcze o rewolucji, ale pożerała na frontach jeszcze tysiące ofiar ludzkich, a biedne ludziska daremnie czekali w domu na powrót swoich. Wreszcie głód i gruźlica dziesiątkowały pozostałych biedaków „pro gloria et patria".

Byłem na onczas z moim pułkiem we Flandrji w okolicy Romarin — New Eglise („nie daleko Kemla"). Tutaj przybyliśmy nocą zmiarnowani (naturalnie piechota) jak psy po polowaniu. na tak zwane „Notkwartiere". W najbliższym domku z drogi, ulokowałem się z moimi ludźmi, aby czekać na rozkazy, albowiem jest rzeczą wiadomą, że żołnierz większą część czasu swej służby spędza na oczekiwaniu rozkazów. Tutaj jak na wojnie. Daleko bitwa gra. W pobliżu krwawa łuna oświetla całe podwórze jakby był dzień. Rozglądam się, w pośrodku powórza gnojownik, a na nim, Boże święty! co tam leży? o zgrozo! w błocie leży piękna z białego marmuru wykuta figura Matki Boskiej Loretańskiej. Widziałem już i przechodziłem dużo potworności i okropności na wojnie, lecz jeszcze nie zdziczałem do tego stopnia, aby podobne widowisko nie podziałało na moje uczucie katolickie i polskie. Podniosłem więc figurę Najświętszej Matki i w pierwszej chwili miałem zamiar figurę sobie przywłaszczyć, lecz później przyszły skrupuły („nie kradnij!") obmywszy więc figurę z kału postawiłem na jakimś gzymsu. Szamocąc się jeszcze z sumieniem, czy brać, czy nie, słyszę alarm. Rozkaz dla żołnierza, to rzecz żelazna, to najpotężniejszy władca jego duszy i ciała. Wpadam więc do chaty, budzę moich towarzyszy i dalej czemprędzej na punkt zbiórki, a stamtąd pod Kemmel.

Przyszły dni ciężkie i piekielne. Jedna piąta nas pozostało, cztery piąte wybite, a potem wycofano nas w tył.

Miejsca sprofanowaniu Matki Boskiej już nie widziałem po raz drugi, bo z drogi żołnierzowi zbaczać nie wolno, a wracaliśmy inną drogą. Lecz wracając z linji ogniowej miałem to wspaniałe uczucie, iż Ona, za tak stosunkowo małą Jej wyrządzoną przysługę, mi „podziękowała" i zachowała od niemalże pewnej śmierci pod Kemmlem i w następnych bitwach.

Dziś minęło już przeszło lat 12, a kiedy pomyślę o owem zdarzeniu w Rosnarin, to muszę sobie powiedzieć, iż postąpiłem — źle. Jest mi ciężko na duszy, kto mi da rozgrzeszenie? A może ty, kochany czytelniku, który także tam byłeś, bo ty tylko możesz się wżyć w mój zatarg wewnętrzny pomiędzy przykazaniem „nie kradnij" a czcią dla naszej Królowej Korony Polskiej!

Gdzie jest Pan Bóg?

Pewien proboszcz zgromadził dziatwę ze swej parafji i opowiadał jej o Bogu.

— Który z was może mi powiedzieć — zapytał — gdzie mieszka Bóg?

Każdy z małych podniósł rękę do góry

— Dobrze, Piotrusiu, wiesz? więc mów.

Był to chłopczyk około sześcioletni.

— Księże proboszczu — rzekł, — Pan Bóg mieszka za wsią. Gdy się idzie przez wieś drogą, potem skręci się na lewo, to znajduje się wśród drzew domek, a w tym domku mieszka Bóg.

Wszystko zaczęło się śmiać serdecznie, nawet sam ksiądz śmiał się również.

— Spokój, — rzekł — nie powinniście się wyśmiewać z małego Piotrusia, to nie wypada. Lecz powiedz Piotrusiu skąd wiesz, że Bóg właśnie tam mieszka?

Piotruś stał, całkiem zakłopotany śmiechem dzieci, doniero łagodne słowa księdza dodały mu znowu odwagi.

— Księże proboszczu! — odpowiedział chłopczyna — niedawno byłem tam z moim ojcem. On mi właśnie pokazał ten domek i rzekł: „Przypatrz się dziecko, w tym domku mieszka stary Jakób z żoną, jego córka z mężem i swojemi dziećmi. Mieszkają tutaj wszyscy razem i są uprzejmymi względem siebie; nikt nie słyszał tu jeszcze złego słowa. Rano, w południe i wieczór odmawiają tutaj pobożnie „Anioł Pański" i różaniec. I tu, — dodał ojciec — tu mieszka Pan Bóg.

Podczas tej długiej mowy wycisnęły się małemu chłopczynie łzy z oczu. Lecz gdy wyrzekł ostatnie słowo nie mógł się powstrzymać i począł rzewnie płakać.

Ksiądz rzekł jednak: „Nie płacz mój mały, twój ojciec ma słuszność.

Bóg jest wszędzie, gdzie dobrzy ludzie mieszkają, którzy się do Niego modlą, gdzie wszyscy są przywiązani do siebie miłością chrześcijańską, — i tam w tym małym domku, tam za wsią wśród drzew..."